





Współczesne czytanki dla młodzieży. № 15.

467  
A. B. STIASNY.

# PRZECIWI TURKOM

POWIASTKA

z czasów powstania w górach Bałkańskich

przetłómaczył

*Al. Ar.*

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1909



## Chrześcijanin i muzułmanin.

W kotlinie między skałami Czarnogórza siedziało kilku zbrojnych mężów. Ich dzikie twarze i dziwaczny strój świadczyły, że to są czerkiesi, należący do dzikiej hordy, która pomagała sułtanowi do mordowania ludności chrześcijańskiej.

Przy boku każdego z łupieżców wisiały krzywe szable, za pasem sterczały pistolety, obok, na ziemi, leżały długie fuzje

— Daj tytoniu, Sulejmanie! — zwrócił się jeden ze zbrojnych do swego towarzysza i zaczął wytrząsać fajkę.

— Dam, ale dopiero po „pracy” — odparł Sulejman. — Teraz nie pora, niebawem zakurzysz, ale z fuzji.

— Do szatana! — zawołał barczysty wążacz o opalonej twarzy. — Radzę wam zaniechać fuzji i pistoletów. Nasza wyprawa powinna się odbyć jaknajciszej, bo inaczej padniemy ofiarą Ferikowych żołnierzy.

— Dobrze, Mechmedzie — odrzekł Sulejman. — Lecz jeśli oni zaczną strzelać...

— Nie możemy do tego dopuścić — twierdził Mechmed. — Dlatego wybraliśmy tę kotlinę, żeby nas spostrzeżono dopiero w chwili napadu.

— Zachowujmy się cicho. Na dany przez Hussejna znak skryjemy się za te odłamy skał, a gdy „oni” już tu będą, wówczas szable w garście i... na nich! Służbę, pachołków wymordujcie, ale chłopcu nie powinien włos spaść z głowy, rozumiecie? Jest to ukochany syn Ferika paszy. Ojciec zapłaci nam bodaj 10,000 piastrów <sup>1)</sup>, byle uratować swego jedynaka.

— A jeśli nie zapłaci i napadnie na nas na czele nizamów? <sup>2)</sup>.

Mehmed uśmiechnął się jeno.

— Pasza zanadto kocha syna, żeby go chciał widzieć porąbanym w kawałki. Zresztą zna nas i będzie się bał z nami zaczynać. Zobaczycie, że nie zwłócząc, przyśle nam piastry na oznaczone miejsce i będzie bardzo grzeczny i potulny. Ferik bogaty, ale wykupu nie da ze swej kabzy, bo woli zdusić rajów <sup>3)</sup>. Ale dobrze, żem sobie wczas przypomniał: jednego pachołka trzeba pochwycić żywcem. Wyślemy go do Ferika, jako posła i każemy powiedzieć paszy, że syn jego znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie.

Towarzysze Mechmeda skinęli głowami na znak zgody. Oczy ich zabłysły z chciwości na myśl, ile na tej wyprawie zarobią.

Mechmed spojrzął w górę i gwizdnął. Po chwili na górze rozległ się przytłumiony gwizd.

— Jeszcze nie! — mruknął Mechmed. — Do szatana! To mitrężą!... Ano, jeśli chcesz, zapal fajkę, Ali!

Tymczasem czerkies Hussejn, stojący na szczycie góry, bacznie się rozglądał dookoła. Wtym usłyszał jakiś szelest: zdało mu się, że ktoś zbiega z góry. Spojrzął bacznie w ową stronę, lecz

---

<sup>1)</sup> 1200 rubli. <sup>2)</sup> Regularnego wojska tureckiego. <sup>3)</sup> Ludność chrześcijańska.

nie nie dojrzał. A gdy po chwili załopotał skrzydłami jakiś ptak i wzbił się do góry, Hussejn zupełnie się uspokoił i zaczął znów spoglądać w stronę drogi, wijącej się między wzgórzami i ginącej w wąwozie.

Szelest, który zaniepokoił Hussejna, nie był jednak spowodowany przez drapieżnego ptaka, lecz przez Mirka, młodego czarnogórcę.

Mirko lubił błądzić wśród rodzinnych skał i znał tam każdą ścieżkę, każde zagłębienie, ba, nawet każdy kamień.

Tego ranka wyszedł z wioski, leżącej nieopodal w dolinie i z rozkoszą wspinał się na dzikie, strome skały, gdzie hulał wolny wiatr i roztaczał się rozległy widok na górzyste Czarnogórze.

Wtym na szczycie skały ujrzał czerkiesa. W duszy jego zrodziło się podejrzenie, że ten rabuś niedarmo tam stoi.

Usłyszawszy dochodzące z kotlin głosy, przeslizgnął się, jak wąż, między skałami i niepostrzeżony przez Hussejna, wydostał się na skraj góry, skąd było widać całą kotlinę. Tu ujrzał uzbrojonych czerkiesów.

Zrozumiawszy z ich rozmowy, że chcą porwać syna paszy i otrzymać za niego wykup, stanął zdumiony. Ferik pasza nie był tak okrutny, jak inni tureccy gubernatorzy. Rządził krajem mądrze i sprawiedliwie. Ale na wykup syna nie dałby własnych pieniędzy, lecz ściągnałby haracz <sup>1)</sup> z biednych rajów i wydarłby im krwawo zapracowane pari <sup>2)</sup>.

Biedni wieśniacy w razie złożenia na czas pieniędzy, byliby srogo katowani. Mirko wiedział dobrze, że raje są w nędzy, trapieni bez-

---

<sup>1)</sup> Podatek. <sup>2)</sup> Grosze.

ustannie haraczami, dziesięcinami (10-ta część zarobku, oddawana turkom) i podatkami wojennymi.

— Muszę jakoś temu zaradzić! — rzekł Mirko.—Ostrzegę syna paszy i przeprowadzę go przez góry inną drogą. W ten sposób pomogę braciom do uniknięcia wielu nieszczęść.

Rozejrzawszy się ostrożnie dookoła, zniknął między skałami.

Wydstawszy się na drogę, którą miał jechać syn paszy, schował się za złom skały i czekał.

Po pewnym czasie ujrzał kilkunastu jeźdźców. Gdy się zbliżyli, Mirko wyskoczył z kryjówki i zdjąwszy czapkę, stanął na środku drogi.

— Z drogi, chłopie! — krzyknął brodaty turczyn.—Czy nie widzisz, niewierny psie, że jedzie syn mocnego paszy?

— Widzę, effendi <sup>1)</sup>. Czekałem właśnie na niego—odparł Mirko i spojrzał śmiało na młodego turka, którego otaczało kilku żołnierzy.

Chłopiec siedział na siwym koniu, był odziany w kosztowne szaty.

— Effendi! — zwrócił się do niego Mirko. — Nie jedź przez kotlinę! Tam czyhają na ciebie czerkiesi, którzy chcą cię porwać i otrzymać za ciebie wielki wykup.

— Skąd wiesz o tym?—spytał turczyn.—Kto ci o tym powiedział?

— Widziałem ich, effendi i na własne uszy słyszałem, że chcą pochwycić syna paszy. Nie jedź więc przez kotlinę, lecz udaj się inną drogą. Znam tu każdą ścieżkę i przeprowadzę cię bezpiecznie.

Brodaty turczyn zwrócił się do syna paszy i coś mu szepnął.

— A jeśli ten giaur <sup>2)</sup> kłamie? — odparł pół-

---

<sup>1)</sup> Panie. <sup>2)</sup> Chrześcijanin.



głosem syn paszy.—Skąd wiesz, czy nas nie wciągnie w jaką zasadzkę?

Mirko dosłyszał te słowa.

— Effendi!—zawołał.—Jeśli kłamię, zetniesz mi głowę.

— Niech nas prowadzi, Abdule! — rozkazał syn paszy.

Stary sługa skłonił się.

— Naprzód, giaurze!—zawołał Abdul.—Jeśli uczynisz jeden podejrzany ruch, roztrzaskam ci łeb kulą z tego oto pistoletu.

Wyjął z za pasa pistolet i trzymał go w gotowości.

Mirko zboczył na prawo i wiódł jeźdźców śmiało górskimi przesmykami, to znów stromymi zboczami gór, zwieszających się nad głębokimi przepaściami.

Stary Abdul nie spuszczał go z oka i ciągle trzymał pistolet zwrócony w stronę Mirka.

Już byli daleko, gdy wtym rozległ się na górze przeraźliwy krzyk. Obejrzeni się: na szczycie góry, nad kotliną stał czerkies i wygrażał im fuzją.

— To jeden z tych zbójów — rzekł Mirko.— Uciekajcie! Oni nie mają koni, więc was nie dopędzą.

Wtym na skale ukazał się biały obłoczek dymu; a po nim huknął wystrzał i odbił się kilkakrotnym echem o zbocza skał. Lecz jeźdźcy byli już bezpieczni: kule ich nie dosięgały.

— Jedźcie z Bogiem! — rzekł Mirko.

— A ty?—odezwał się syn paszy.—Jeśli cię pochwyca, zginiesz napewno!

Mirko się uśmiechnął.

— Effendi! — rzekł.—Prędzej się im uda zastrzelić tego oto orła, co tam buja w obłokach — wskazał na czarny punkt nad szczytami skał, —

niż mię pochwyć. Nie troszcz się o mnie, dam sobie radę!

— Siadaj ze mną na konia i jedź do naszego pałacu — odparł syn paszy. — Ojciec wynagrodzi cię sowicie.

— Nie żądam nagrody. Nasze uczynki muszą wypływać z prawdziwej miłości bliźniego — rzekł Mirko. — Tak mię uczy ojciec.

— Więc powiedz mi przynajmniej swe imię — nalegał turek.

— Zwą mnie Mirko, effendi.

— Daj mi rękę, „bogom brate” <sup>1)</sup> — ozwał się turek.

Zanim zdumiony Mirko ośmielił się wyciągnąć rękę, turek przechylił się z konia i ścisnął dłoń jego.

— Nie zapomnę o tobie, Mirko — rzekł.

Wtym w oddali znów zagrzemiał wystrzał i rozległy się krzyki kilkunastu ludzi.

— Uciekaj, effendi! — krzyknął Mirko.

Turcy ruszyli z kopyta i pomknęli drogą do miasta, którego dżamije <sup>2)</sup> majaczyły woddali.

Mirko patrzył za odjeżdżającymi, twarz jego jaśniała radością.

— Uratowałem braci od wielkiej biedy — szepnął, — pasza zaś będzie teraz dla nas łaskawszy.

Skręcił w przesmyk i zginał między skałami.

Po chwili już piał się w górę, aż wreszcie dotarł do małej pieczary, skąd ujrzał, że czerkiesi pędzili za uciekającymi, lecz ci już byli bardzo daleko.

---

<sup>1)</sup> Tak się wyrażają na półwyspie Bałkańskim, gdy dwóch ludzi zawiera przyjaźń, czyli staje się pobratymcami.

<sup>2)</sup> Turecki kościół z wysoką spiczastą wieżą.

Nazajutrz przybył do wsi, w której mieszkał Mirko, znaczny oddział żołnierzy paszy.

Aga <sup>1)</sup> kazał zapytać, gdzie mieszka chłopiec, zwany Mirko. Ponieważ we wsi nie było innych chłopców tego imienia, więc odnaleziono go łatwo.

Abdul poznał Mirka i doręczył mu w imieniu młodego Hamida piękną i bardzo kosztowną fuzję, zaś jego rodzicom pasza przysłał kieszę złota.

Następnie aga oznajmił wieśniakom, że pasza, oceniając zasługi Mirka, zniża o połowę mieszkańcom tej wioski podatki.

We wsi zapanowała niezwykła radość. Mirko stał się bohaterem dnia i zdobył sobie miłość i uznanie całej gromady.

Czerkiesi nie uszli kary: wpadli w ręce żołnierzy paszy, a zachodzące słońce oświeciło ich pokrwawione trupy.

---

## Wśród hajduków.

Upłynęło dziesięć lat. W tym czasie zaszło bardzo dużo zmian.

Ferik pasza już nie żył: padł ofiarą dworskich intryg. Otrzymał ze Stambułu <sup>2)</sup> ferman <sup>3)</sup> z zieloną pieczęcią i jedwabnym sznurem. Była to szczególna łaska sułtana, że nie oddał paszy w ręce kata, lecz miłościwie pozwolił mu się powiesić na przysłanym sznurze.

Majątek Ferika przeszedł na własność suł-

---

<sup>1)</sup> Naczelnik. <sup>2)</sup> Stolica Turcji. <sup>3)</sup> Własnoręczny list sułtana.

tana. Do Czarnogórze przysłano innego paszę, człowieka bardzo srogiego i nielitościwego.

Syn Ferika, z rozkazu sułtana, został odesłany do Stambułu i był oddany na wychowanie jakiemuś dostojnikowi, który go bardzo polubił i usynowił.

Gdy młody Hamid odjeżdżał do Stambułu, pożegnał się z Mirkiem i podarował mu „talizman”. Był to złoty arabski pieniążek, przedziurawiony w pięciu miejscach.

Mirko zawiesił pieniążek na szyi i nosił go stale. Często wspominał Hamida, lecz nie myślał, że się z nim jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Tymczasem w Bułgarji rozpoczęły się zaburzenia. Chrześcijanie, dręczeni przez Turków, obdzierani z mienia i prześladowani za najmniejsze przewinienia, nie mogąc znieść dłużej swej niedoli, zgromadzili się licznie i postanowili zmusić Turków do zaprzestania okrucieństw.

Zanim jednak przyszło do walki, wysłali kilku wybranych ludzi do paszy i do innych dostojników, mających wielkie znaczenie u sułtana, z prośbą o wymierzenie sprawiedliwości. Gdy to nie poskutkowało, zagrozili gubernatorowi, że pójdą ze skargą do sułtana.

Lecz Turzek śmiał się z ich pogroźek i odpowiadał z uśmiechem:

— Allah (Bóg)—wysoko, a sułtan—daleko!

Wówczas Bułgarzy powstali z bronią w rękę i rzucili się na swych prześladowców.

Utworzyły się zbrojne oddziały, złożone z odważnych ludzi, którzy opuścili swe domy, rodziny i zaczęli toczyć śmiały bój z wojskiem tureckim.

Bili się dzielnie, strzelali celnie, kosili Turków, a po każdej walce chronili się w swe rodzinne góry.

Reszta ludności, która nie mogła przyjąć w powstaniu czynnego udziału, pomagała tym dzielnym mężom, zowiącym się „hajdukami”. Znosiła im kukurydzę, słoninę, ryż, mięso, zaopatrywała w broń i amunicję.

Turcy bardzo się bali hajduków, bo walka z nimi była niełatwa. Paszowie wysyłali przeciw nim liczne oddziały wojska i „baszybuzuków”<sup>1)</sup>, lecz nie mogli zgniebić wroga. Trudno bowiem walczyć z temi, których się nie widzi.

Hajducy, ukryci w górach, napadali Turków i prawie nigdy nie dali się podejść. Turcy, nie mogąc ich zwyciężyć, wywierali swą zemstę na niewinnej chrześcijańskiej ludności, zamieszkującej miasteczka i wioski. Nieludzkie ich okrucieństwa wołały o pomstę do Boga.

Ilość powstańców powiększała się z dniem każdym. Małe oddziały, walczące za niepodległość kraju i wiarę, zmieniły się w całe pułki.

Mirko, już spory i tęgi junak, przyłączył się wraz ze swym ojcem do jednego z oddziałów hajduków i zaczął walczyć z zaciętym wrogiem krzyża. Walczył bardzo szczęśliwie, bo dotychczas ani on, ani ojciec nie ponieśli nawet rany. Turckie kule i krzywe damascenki<sup>2)</sup> dziwnie ich oszczędzały.

Pewnego razu ukazał się w górach, gdzie przebywał oddział hajduków, wielki podjazd tureckiego wojska.

Pewien ormianin, który się wychował w Czarnogórze i przyjął nawet chrześcijańską wiarę, zachęcony nagrodą, zdradził czarnogórców: pokazał Turkom miejsce, w którym się skrywali hajducy.

---

<sup>1)</sup> Dzicy kozacy tureccy. <sup>2)</sup> Szable.

Nadszedł już wieczór. W dolinach zapadł mrok; wśród skał zapłonął duży ogień, a przy nim siedzieli hajducy i piekli barana. W powietrzu roznosiła się woń skwarzącego się mięsa i mile łechtala podniebienie zgłodniałych hajduków.

Czekając, rychło-li baran się upieczce, gwarzyli o ostatniej potyczce z turkami.

Oddział turecki był daleko liczniejszy od ich szczupłej garstki, a jednak zwyciężyli wroga. Daniło, ojciec Mirka, nie przyjmował udziału w rozmowie. Siedział milczący i ponuro patrzył w ciemne zarysy skał, tonących w coraz gęstniejącym zmroku. Nie zwracając uwagi, że fajka już dawno wygasła, cmokał ją dalej i tonął w głębokiej zadumie.

Zachowanie się ojca nie uszło uwagi Mirka.

— Co wam, ojcze? Dlaczegoście dziś tacy smutni?

Stary czarnogórzec machnął desperacko ręką.

— Po co o tym mówić!—odparł. —Widzę, że się już starzeję i tracę animusz i fantazję.

— Wy, ojcze?—zawołał Mirko.—Ale wy swą śmiałością i odwagą zakasujecie niejednego młodego junaka! Wszyscy tak tu o was prawią.

— Ciesz mi to, mój synu—odparł Daniło niezwykle miękkim głosem.—Gdy wrócisz do wioski, opowiadaj wszystkim, jakiegoś miał ojca.

— Jakiego mam!—poprawił go Mirko.

Daniło smutnie pokiwał głową.

— A no, jeszcze masz, ale kto wie, czy długo mieć będziesz.

— Co znaczą te słowa, ojcze?—rzekł Mirko.—Od niejakiego czasu widzę, że jesteście prawie ciągle smutni. Co was tak gnębi?

— Śmierć, mój synu.

— Ależ, ojcze, na to musi być przygotowany każdy hajduk. Po co się nią martwicie?

— Widzisz, Mirko—odparł Daniło—inni tak ciągle o śmierci nie myślą: każdy z nich myśli, że go turecka kula ominie, ja zaś...

— Nie rozumiem was, ojcze!

— Wnet zrozumiesz.

I przyciszonym głosem zaczął mu prawić, że dziś rano, gdy ciągnęli wążką ścieżką, ujrzał w przesmyku między górami straszne widmo staro-zbrojnego czarnogórcza z roztrzaskaną głową.

— Był to sędziwy starzec. Z głowy sączyła mu się krew. Lewą ręką opierał się o fuzję, prawą zaś podniósł i skinął na mnie. Czy wiesz, Mirko, że ten czarnogórzec był zupełnie podobny do mego ojca, któremu turcy roztrzaskali czaszkę? Tak, nie mylę się. To był mój ojciec i wzywał mnie do siebie. Jestem przekonany, że niebawem pożegnamy się na wieki.

Mirko chwycił ojca za rękę i ścisnął ją nerwowo. Był tak wzruszony smutną opowieścią, że nie mógł wyrzec ani słowa.

Tymczasem baran był już upieczony. Pokrajano go na części, rozdzielono między sobą i zaczęto spożywać wieczerzę. Wtym rozległ się wystrzał. Wszyscy zerwali się z miejsc i chwycili za broń.

— Bracia, ratujcie się!—dało się słyszeć czyjeś wołanie.

Po chwili do obozowiska nadbiegł wysoki hajduk. Z jego fuzji jeszcze się kurzyło.

— Nika, do kogo strzelałeś? Gdzie są turcy?—zawołali hajducy.

— Wdzierają się na góry. Jest ich kilkudziesięciu.

— To niemożliwe! Skąd się mogli dowiedzieć o naszej kryjówce? Czyżby nas zdradzono?

— Zdrajca już zginął!—rzekł Nika.—Dobrze, że to ja właśnie byłem na czatach, bo nie chwając się, mam wzrok bystry. Otóż stoję, rozglądam się pilnie na wszystkie strony, wtym spostrzegam na dole dziesiątki turbanów <sup>1)</sup> i kołpaków. Już miałem biec, żeby was ostrzec, gdy wtym spostrzegłem ormianina. Mierzył do mnie z pistoletu, lecz go uprzedziłem: już nie dostanie nagrody, bo gryzie ziemię. Uciekajmy, póki czas, do innej bezpieczniejszej kryjówki.

Hajducy, idąc za radą Daniły, narzucili na ogień dużo drzewa i suchych gałęzi. Gdy drzewo się zajęło, hajducy niewidzialni po za kłębami dymu, zaczęli się piąć coraz wyżej w góry.

Byli pewni, że są bezpieczni, bo sądzili, że turcy pozbawieni przewodnika, nie odważą się zagłębiać w góry i zaprzestaną pościgu.

Cicho, jak duchy, wdzierali się coraz wyżej i wyżej, chwytali się wystających złamów skał i opierając się o fuzje, przeskakiwali zdradliwe, głębokie rozpadliny. Zwinne ich ruchy wzbudzały podziw!

Po pewnym czasie usłyszeli wielki gwar i szcęk oręża. Wychylili się z po za skał i ujrzeni w mrokach nocy kilka zapalonych pochodni, któremi turcy oświetlali sobie drogę.

Nie ucieszyło to hajduków. Dotychczas byli pewni, że tu na szczytach gór, osłonięci mrokiem, są zupełnie bezpieczni, lecz, niestety, przekonali się, że turcy pną się wytrwale do góry i przy pomocy pochodni łatwo odnajdą ich kryjówkę.

— Te światła muszą zgasnąć!—zawołał Daniło i przyłożył fuzję do ramienia.

---

<sup>1)</sup> Zawoje, jakie noszą na głowach żołnierze tureccy.



Kilku hajduków uczyniło to samo. Po chwili rozległy się strzały. Nim ich echo przebrzmiało, światła znikły. Hajducy nie chybili!

— Bracia, na ziemię!—zakomenderował znów Daniło.

Wszyscy przypadli do ziemi. W chwilę potem w ciemnościach zabłysnął rząd blasków: huknęły strzały i wstrząsnęły powietrzem. Nad hajdukami zagwizdały kule. Rada Daniły była bardzo roztropna: turcy wystrzelili w tym kierunku, skąd się rozległy strzały czarnogórców.

Gdy strzały przebrzmiały, hajducy rozbiegli się szybko w różne strony i pełzając po ziemi, chowając się za wystające złomy skał, uciekali coraz wyżej. Nad nimi wciąż furczały tureckie kule: wróg nie żałował nabożów!

Po pewnym czasie znów zapłonęły tureckie pochodnie, lecz paliły się niedługo. Celne strzały hajduków szybko je zgasiły! Wówczas turcy wstrzymali się, poczym obawiając się brnąć dalej wśród ciemności, cofnęli się z powrotem w dolinę.

Hajducy, chociaż srodze pomordowani, nie przestawali jednak piąć się coraz wyżej: chcieli dotrzeć do znanej im tylko zupełnie bezpiecznej kryjówki na szczycie góry.

Wtym z pobliskiej pieczary, jak grom z jasnego nieba, posypały się wystrzały.

— Zdrada! — krzyknęli hajducy.

Nikczemny ormianin przed skonem wskazał turkom tę kryjówkę! Znów huknęły wystrzały. Kilku hajduków z okrzykiem bólu padło na ziemię.

— Uciekajmy! — krzyknęli inni i zaczęli się cofać.

Położenie hajduków było rozpaczliwe: turcy osaczyli ich ze wszech stron; część podjazdu

prażyła ich ogniem z góry, druga czyhała na nich w dolinie.

Nie było ratunku, czekała ich straszna śmierć.

— Słuchajcie, bracia! — krzyknął stary hajduk Petkowicz. — Sprobujmy wciągnąć turków w zasadzkę. Uciekajmy do czarnego parowu; tam w wązkim przesmyku, otoczonym stromemi skałami, jest mnóstwo drobnych kamieni.

— Rozumiem twój plan! — rzekł Daniło. — Wciągniemy tam turków, zaś nasze fuzje i kamienie uczynią resztę.

— Wspaniała myśl! — krzyknęła reszta hajduków. — Dalej, bracia! Nie traćmy nadziei!...

I wnet skoczyli w kierunku wąwozu.

Mimo ciemności, posuwali się śmiało, bo znali tu każdy przesmyk, każdą ścieżynkę. Pięciu hajduków, między niemi Daniło i Mirko, zboczyli na ścieżkę, wijącą się po zboczach góry i wołając: „Hej, bracia, nie dajmy się!” — zaczęli zbiegać w dolinę.

Reszta hajduków pozostała na górze i schroniła się w zagłębieniach między skałami. Turcy, słysząc wołania hajduków, zapalili pochodnie i pobiegli za uciekającymi, nie przypuszczając, że przebiegają koło reszty hajduków, których mogli teraz łatwo pojmać lub zabić.

Z okrzykiem: „Allah!” biegli wciąż za uciekającymi, pewni, że pędzą za całym oddziałem hajduków i że przy pomocy reszty oddziału, znajdującego się w dolinie, łatwo rozproszą i zetrą wroga.

Gdy już cały podjazd turecki był w wąwozie, na górze zabłysnął rząd złowrogich światełek i na głowy turków spadł grad kul! Po wystrzałach rozległ się groźny, głuchy łoskot, ze szczytów zaczęły się staczać olbrzymie głazy,

szerząc wśród przerażonych turków popłoch i śmierć.

Powstało zamieszanie: wśród huku wystrzałów i loskotu spadających kamieni rozlegały się straszne krzyki, przekleństwa, jęki rannych i umierających. Ci, którzy przed chwilą byli pewni zwycięstwa, teraz przerażeni szukali ratunku.

Ale o ucieczce nie było mowy, bo Daniło, Mirko i kilku hajduków zajęli miejsca przy wyjściu z wąwozu i prażyli uciekających piekielnym ogniem, zaś z góry w dalszym ciągu leciał grad kul i gromady kamieni.

Turcy, potraciwszy zupełnie głowy, skupili się w wąwozie i zaczęli padać, jak kłosa podcięte kosą. W rozpacz rzucali się do wyjścia, lub próbowali uciekać w góry. Zewsząd rozlegały się rozpaczne krzyki: „Allah, Allach”, lecz Allah był wysoko i próśb ich nie słyszał.

Gdy już większa połowa podjazdu zasłala wąwóz trupami, hajducy wyciągnęli z za pasów handziary (sztylety), zbiegli z góry w dolinę i rozpoczęła się sroga rzeź.

Handziary błyskały, głowy turków spadały, jak makówki. Turcy chcieli się poddać i błagali o litość, lecz hajducy nie znali litości dla mściwego wroga.

Wówczas turcy zdobyli się na ostatni rozpaczliwy wysiłek, zbili się w kupę i rzucili się do wyjścia z wąwozu. Lecz tylko kilku udało się umknąć, resztę wycięto w pień.

Walka skończyła się świetnym zwycięstwem hajduków: pobili wroga, dziesięciokrotnie przewyższającego ich szczupłe siły!

Między hajdukami było także kilku poległych i kilku rannych. W liczbie zabitych był Daniło, któremu turecka kula roztrzaskała czaszkę.

Widzenie jego sprawdziło się!

Mirko, srodze zgnębiony śmiercią ojca, złożył jego ciało w bezpiecznym miejscu, dokąd zniesiono i resztę poległych. Postanowiono nazajutrz pochować ich we wspólnym grobie.

Gdy słońce weszło, hajducy wykopali głęboki dół, złożyli w nim ciała poległych, potem uklękli, odmówili za nich pacierze i śpiewając swą smutną pieśń wolności, zaczęli ich grzebać.

Mirko długo się jeszcze modlił przy grobie ojca, który poległ za wiarę przodków i za wolność narodu słowiańskiego.

---

## P o b r a t y m c y .

Po śmierci ojca Mirko powrócił do Czarnogórze i przyniósł matce smutną wieść o stracie ojca. Pocieszając matkę, obiecał jej na niewąstnych Turkach pomścić śmierć ukochanego ojca.

Gdy powstanie wybuchnęło w całym Czarnogórze, Mirko zaciągnął się w szeregi wojska i śmiało walczył z wrogiem.

Pewnego razu został wysłany na czele małego oddziału na podjazd, doszła bowiem wiadomość, że przeciw powstańcom ciągnie wielka siła turecka.

Że tak było wistocie, świadczyła o tym w nocy olbrzymia łuna, zalewająca sklepienie nieba. Ta łuna powstała z palących się wiosek, przez które ciągnęli mściwi Turcy, znacząc swój pochód ogniem i mieczem.

Mirko jechał z oddziałem już kilka godzin, lecz nigdzie nie spotkał wroga.

Wtym, zbliżając się do jednej wsi, rozrzuconej w dolinie między górami, usłyszał wołania i ryk bydła.

Po chwili rozległy się wystrzały.

— Bracia! — zawołał Mirko. — Turcy rabują naszą wioskę. Kto chce pomóc nieszczęśliwym rodakom — za mną!

Junacy co do jednego bez wahania pomknęli za Mirkiem, lecz, niestety, przybyli zapóźno, bo wieś już się paliła.

Przed chałupami leżały trupy mężczyzn, kobiet i dzieci. Wśród palących się budowli uwiłali się turcy, rabując, co się dało, uprowadzając jeńców i ich dobytek.

Jak piorun wpadli powstańcy na przerażonych turków i siekli na prawo i na lewo. Lecz turcy rychło się opamiętali i pod wodzą agi rzucili się na hajduków.

Nastąpiła sroga rzeź, która, niestety, skończyła się zupełną porażką hajduków. Mirka, na rozkaz agi wzięto do niewoli. Że zaś do ostatniej chwili mężnie się bronił i coraz to którego turka ukąsił szablą, aga rozkazał rzucić się nań z tyłu, ściągnąć go z konia i związać mu ręce.

Wówczas okrutni turcy zaczęli go bić kolbami fuzji, aga zaś zawołał:

— Wstawaj, niewierny psie! Zaprowadzę cię przed oblicze mocnego paszy! Niech on sam ukarze cię za to, żeś się odważył z bronią w rękę napaść na wojsko padyszacha.

Mirko zacisnął zęby, spojrział z nienawiścią na wroga i szalał z rozpaczą, że nie mógł polec wraz z bracią.

— Wolę srogie męczarnie i śmierć, niż długą i ciężką niewolę — myślał po drodze. — Śmierć jest lepszą, niż pohańbienie!

Niedaleko za wioską rozciągał się obóz turecki. Okrażony agami, pasza siedział na wspinałym białym arabie. W rękę trzymał damascenkę ze złotą rękojeścią, wysadzaną drogiemi kamieniami.

Zobaczywszy żołnierzy, wiodących jeńca, skinął na nich ręką. Aga zbliżył się, skłonił i rzekł:

— Mocny paszo, ten giaur odważył się podnieść rękę na twoje wojsko. Wpadł na nas na czele hajduków, których wycięliśmy w pień. Tego zaś śmiałka porwaliśmy żywcem i przywiedliśmy przed twoje wzniosłe oblicze.

Pasza skinął na swego sługę murzyna i rozkazał mu przynieść z namiotu worek z pieniędzmi. Gdy niewolnik powrócił, pasza wyjął z worka dwie kiesy ze złotem i rozdał je między żołnierzy. Potym, zwróciwszy się do jeńca, zawołał:

— Czy wiesz, psie niewierny, jak wielką popełniłeś zbrodnię?

— Nie popełniłem żadnej zbrodni — odparł Mirko i śmiało spojrział w oczy paszy.

Agowie, otaczający paszę, z podziwem spojrzeli na śmiałka i groźnie zamruczeli, zaś oburzony pasza tak silnie szarpnął cugłami konia, że ten stanął dęba.

— Giaurze, zapominasz, kto stoi przed tobą! — rzekł groźnie.

— Nie zapominam, effendi. Jesteś paszą i pozwól mi powiedzieć sobie, że ziemia, w której przebywasz, jest naszą własnością. Nieszczęście chciało, że zostaliśmy waszymi poddanymi. Żyliśmy jednak spokojnie, znosząc cierpliwie wszelkie od was okrucieństwa. Lecz gdy zaczęto obchodzić się z nami gorzej, niżli z niewolnikami, wówczas nasz naród powstał przeciw ciemierzcom i łupieżcom.

— Psie! — zasyczał pasza i podniósł szablę do góry.

— Owszem, zabij mię, effendi! — rzekł spokojnie Mirko, — lecz nie zapominaj, żeś się ze mną pobratał!

Na te słowa pasza zadrżał, opuścił miecz i utkwiał wzrok osłupiały w twarzy młodego czarnogórca.

— Coś się odważył wyrzec! — rzekł wreszcie niepewnym głosem. — Ja mam być twym pobratymcem?

— Tak, effendi! — odparł Mirko. — Nie poznałeś mię, lub nie chcesz mnie poznać; ja zaś wiem, że stoję przed Hamidem, synem Ferika paszy.

— Allah kerim! Co to znaczy! Ktoś ty? — zawołał zdumiony pasza.

— Jestem Mirko, syn Daniły z Czarnogórza.

Hamid uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową.

— Kłamiesz! Mirko wyglądał inaczej. Słyszałeś pewno o Mirku i korzystasz z tej wiadomości, żebym się nad tobą zlitował.

— Nie żądam litości! — rzekł hardo Mirko! — Jeśli sądzisz, że zasługuję na śmierć, możesz mię zabić. Umrę z tym przekonaniem, że wyznawcy proroka nie umieją dochować ślubu pobratymstwa.

— Jeśli to prawda, co mówisz — odparł pasza, marszcząc brwi, — to powiedz, co dostał Mirko od syna Ferika paszy, gdy Hamid odjeżdżał do Stambułu?

— Effendi, każ zdjęć z mej szyi ten pieniądz, który ciągle noszę na piersiach — odparł Mirko.

Na rozkaz paszy jeden z żołnierzy odpiął

Mirkowi koszulę i podał Hamidowi pamiątkowy pieniądz.

— Tak, teraz już nie mam wątpliwości, że to ty jesteś — rzekł pasza. — Wybacz mi, że cię posądziłem o kłamstwo. Gdybym cię był spotkał w czasie pokoju, przywitałbym się z tobą po przyjacielsku, jak ze swym pobratymcem. Obecnie jednak stosunki się zmieniły. Ja jestem na służbie u najwyższego padyszacha i będę posłuszny jego rozkazom. Zaś rozkaz sułtana brzmi: każdemu giurowi, który będzie pochwycony z bronią w ręku — śmierć! A więc i ty już jesteś osądzony!

— Czyń twą powinność, effendi! — rzekł Mirko spokojnie.

Hamid pasza zamyślił się.

— Pobratałem się z tobą — rzekł po chwili, — więc twym sędzią nie będę. Odeślę cię do innego paszy. Ten wykona nad tobą sprawiedliwy wyrok. Twoja krew nie padnie na moją głowę.

Niebawem ruszono w dalszą drogę. W ostatnich rzędach szli jeńcy, a między nimi — Mirko. Nie gniewał się na Hamida, bo wiedział, że mu ciężko na duszy i że radby pobratymcowi pomóc, lecz się obawia gniewu sułtana, któremu zausznicy wnetby donieśli, że pasza zlitował się nad giurem powstańcem.

Mirko nie bał się śmierci. Gnębiło go to tylko, że zginie z ręki kata, a nie waleczną rycerską śmiercią na polu walki i chwały.



## U w o l n i o n y.

Z nadejściem nocy wojsko paszy rozłożyło się obozem na wysokim płaskowzgórzu.

Żołnierze rozłożyli ognie i warzyli na nich pilaf <sup>1)</sup> i kaszę.

Hamid pasza usiadł w swym namiocie na niskiej, wzorzystym dywanem pokrytej kozetce i paląc fajkę, popijał wonną mokkę <sup>2)</sup> i rozmyślał.

— Ali! — zawołał wreszcie na swego murzyna, który wnet przybiegł i jak pies przyczołgał się do nóg swego pana. — Zawołaj mi agę Jussufa!

Niebawem wszedł do namiotu aga. Był to silny, pleczysty turczyn.

— Co rozkażesz, effendi? — spytał, schylając nisko głowę.

— Ago! — rzekł Hamid. — Żądam od ciebie przyjacielskiej przysługi. Znam twą wierność i wiem, że potrafisz milczeć.

— Rozumiem, effendi! Żądasz, żeby twój jeniec był odesłany do innego paszy. Aga Jussuf ręczy swą głową, że go odprowadzi na miejsce oznaczone.

Hamid pasza ścisnął jego dłoń.

— Jussufie! — rzekł. — Wiesz, że otacza mnie łaska padyszacha. Jeśli oblicze jasnego sultana nie odwróci się ode mnie, dojdiesz do wielkich zaszczytów i kto wie, czy nie staniesz się z czasem mocnym i bogatym paszą!

Twarz agi zajaśniała radością i pychą.

— Effendi! — rzekł, znów się nisko kłaniając. — Moje życie należy do ciebie. Rozkazuj! Wykonam wiernie to, co mi polecisz.

\*

\*

\*

---

Baranina z ryżem. <sup>2)</sup> Kawę.

O wschodzie słońca aga na czele kilkunastu żołnierzy opuścił obóz.

W orszaku jego znajdował się Mirko. Aga, wyjeżdżając z obozu, kopał go nogą i krzyczał głośno:

— Śpiesz się, ty psie giaurze, bo nie mamy czasu: musimy jaknajrychlej wykonać rozkaz wielkiego paszy.

Słyszac te słowa, jeńcy bulgarzy i czarnogórcy z rozpaczą czekali na swój rychły koniec. Nie wątpili, że zginą w okropnych mękach, skoro srogi pasza nie szczędzał nawet tego, z kim się ongi pobratał.

Po godzinie drogi Mirko, otoczony strażą, stanął u stóp wysokich gór.

Aga rozkazał oddziałowi zatrzymać się dla odpoczynku. Zmęczeni żołnierze spętali konie i porozkładali się na trawie. Mirko również chciał odpocząć, lecz aga, zbliżywszy się do niego, uderzył go kolbą strzelby po plecach i rzekł z dziwnym uśmiechem:

— Czyś ty naprawdę sądził, że pan mój chce cię odesłać do innego paszy? O, wierzaj mi, że Hamid nigdy się tak nie zniżył i nie zniży. Otóż oświadczam ci, że na rozkaz paszy, zabiję cię tu, zdala od obozu. Aga Jussuf wiernie spełnia rozkazy swego pana. Klnę się na brodę proroka, że wnet zginiesz!

Mirko spojrział śmiało w twarz Jussufa i rzekł:

— Myślałem, że twój pan jest szlachetniejszy. Teraz widzę, jak zdradnie wierzyć turczynowi, który jest zdolny oszukać nawet swego pobratymca.

— Milcz, psie niewierny! — krzyknął aga. — Milcz i idź ze mną. Nie będę się z tobą długo bawił, zobaczysz!

Wyjął z za pasa pistolet i nabił go. Potym rozkazał żołnierzom, żeby się nie ruszali z miejsca i pilnie rozglądali się dookoła; sam zaś wraz z Mirko ruszył w kierunku gór.

Upłynęło parę minut. Wtym żołnierze usłyszeli wystrzał.

— Już o jednego giaura mniej!—rzekł jeden z żołnierzy.

— Szkoda, że aga nie zaprosił nas na to widowisko — dodał drugi.

Wkrótce aga Jussuf wrócił i zawołał:

— Allach il Allach! Nieprzyjaciel islamu \*) pokonany. Niech żyje Hamid pasza!

Żołnierze powtórzyli głośno ten okrzyk, poczym, na rozkaz Jussufa, dosiedli koni i wrócili do obozu.

Po drodze aga Jussuf uśmiechał się pod wąsem i szeptał od czasu do czasu słowa Hamida:

— Z woli padyszacha będzie z ciebie mocny i bogaty pasza!

Żołnierze tureccy srodze się pomylili, bo Mirko nie był zabity. Gdy aga Jussuf wprowadził go między skały, zbliżył się doń, wyjął szablę, przeciął mu pęta i rzekł:

— Hamid pasza oznajmia ci przeze mnie, że od tej chwili jesteś wolny. Pan mój prosi cię, żebyś już nie walczył przeciw prawowiernym, przynajmniej tam, gdzie on dowodzi wojskiem. Jeśli nie spełnisz jego prośby, będziesz uważany za nieprzyjaciela paszy. A teraz — dodał — uciekaj i podziękuj Allachowi, że w sercu Hamida zachowało się dla ciebie niewiernego niezmiennie uczucie przyjaźni.

Mirko nie chciał wierzyć własnym uszom. Gdy zaś Jussuf wcisnął mu do ręki kiesę ze zło-

---

\*) Wiary muzułmańskiej.

tem—dar Hamida—w oczach Mirko zabłyśły łyzy rozczulenia.

— Ago — rzekł drżącym ze wzruszenia głosem. — Podziękuj Hamidowi i donieś mu, że dar jego przyjmuję, lecz walczyć z turkami nie przestanę. Spełnię jego życzenie i przeniosę się do innych pułków, bo się boję, żeby przypadkiem kula z mego karabinu nie trafiła w zacnego przyjaciela, którego nigdy nie zapomnę, będę głosił współbraciom, że nie wszyscy turcy są okrutni. Uprzedzam jednak, że jeśli napadnie moją wioskę, będę się bronił do ostatniej kropli krwi, bo tak mi każe powinność. Jeszcze raz cię proszę, wyraż Hamidowi moją wdzięczność i poproś go ode mnie, żeby był łaskawszy dla nas, czarnogórców.

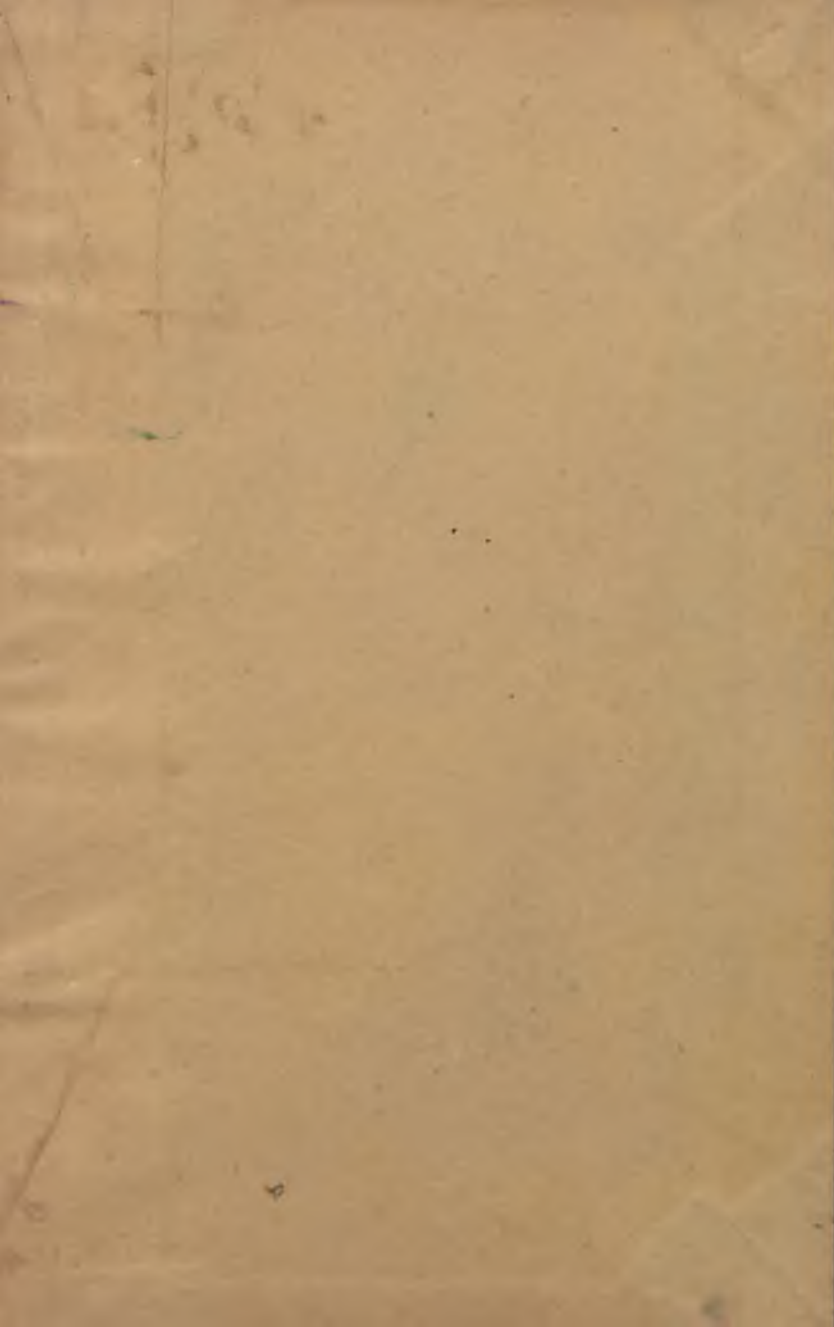
Aga Jussuf podał Mirkowi dłoń i rzekł:

— Żegnaj, dzielny junaku, wracaj do swej wioski. Szkoda, że nie jesteś naszym żołnierzem, wielka szkoda!

Po tych słowach wystrzelił w powietrze i wrócił śpiesznie do oddziału.

Upłynęło sporo czasu, zanim się Mirko dostał do rodzinnej wioski, bo długo jeszcze walczył z turkami: bronił dzielnie Czarnogórza, gdzie także wybuchnęło powstanie. Mirko bił się śmiało i wkrótce zyskał sławę i imię bohatera. Gdy się wojna skończyła, wrócił do chaty i osiadł na gospodarstwie. O Hamidzie raz tylko miał wiadomość, że żyje szczęśliwie w Stambule (Konstantynopolu — stolicy Turcji), obdarzany coraz to nowymi łaskami sułtana; potym zaś już nigdy o nim nie słyszał.

---



PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14



173796

**UWAGA**  
**KŁOCEK INTROLIGATORSKI**

**MUZEUM**